

Kiedy w godzinę później stał ukryty w klombie drzew znajdujących się naprzeciw domku malarza, i mógł doskonale obserwować co się wewnątrz dzieje, ktoś zapytał się o niego. Był to Piotr Moreau, który wysiadłszy w Argenteuil, podążył teraz pieszo do Sannois.

Szczęście uczyniło go mniej ostrożnym. Szedł prosto, nie rozglądając się. Przechodząc przez drogę, zagwizdał. Równocześnie prawie cicho odemknęło okno na pierwszym piętrze. W oknie stała kobieta i natychmiast znikła! Za chwilę już była w ogrodzie, biegnąc prosto naprzeciw przybywającego i otwierając furtkę rzuciła się w jego ramiona!

Do Gewolskiego dobiegły słowa urywane, nabrzmiałe radością:

— Wuj! drogi wuju! to ty! Ale chodźże tędy! Co za nieostrożność!

— Oh! moje dziecko! gwizdę sobie teraz na wszystkie nieostrożności! Trzymamy zwycięstwo w rękach!...

— No, niewiedomo jeszcze! — szepnął Gewolski z wściekłością!

Czyż to nie było już pół zwycięstwa mieć w rękach tajemnicę przeciwnika! i to bez obudzenia żadnych z jego strony podejrzeń! Dziś role się zmieniały! Jednakże krótko trwała nagle radość Gewolskiego. Na widok syna, ukazującego się w drzwiach, opanowało go uczucie przynębienia i upokorzenia.

Stanisław wyciągał ramiona do Piotra Moreau, lecz ten ostrożnie wciągnął go do mieszkania, którego drzwi natychmiast zostały zamknięte.

— Mój syn! tam u moich wrogów! walczący z nimi przeciwko mnie!

Co za straszny odwet losu!

Minęło kilka chwil. W frontowych oknach światła pogasły. Rodzina cała musiała się przenieść do jadalnego pokoju.

— Oh! — jęczał Gewolski, nie posiadając się z gniewu. — Wiedzieć, słyszeć to, co tam mówić będą!

Już teraz wszystkie okiennice domu zostały pozasuwane. Gewolski wyszedł z gąszczu na drogę. Nie dojrzał na niej nikogo, ani też na szosie prowadzącej do Paryża. Powrócił do dawnego miejsca i postanowił czekać!

Choć powietrze było łagodne, Gewolskim wstrząsały silne dreszcze. Uczuwał ogromne przynębienie moralne. On, sławny i znany w mieście doktor Gewolski, był w tej chwili zmuszony szpiegować, jak pierwszy lepszy agent policyjny. Z domku malarza Morela dobiegały od czasu do czasu wesole wybuchy śmiechu i zdawało się Gewolskiemu, iż widzi po przez ściany wrogą sobie rodzinę, zebraną przy jednym stole i naigrawającą się z niego. Nie, to nie było możliwe, aby syn jego Stanisław dobrowolnie zjednoczył się z tymi ludźmi!...

Nagle dobiegł go odgłos, który do reszty, w śmieszny sposób wyprowadził go z równowagi. Odkorkowano butelkę szampana! Gewolski nie namysłając się więcej ruszył z miejsca; przebiegł drogę i przeskoczył przez parkan ogrodu i ostrożnie posunął się pod okna domu. Tam, aby nie zdradzić odgłosu kroków, rozłożył na piasku płaszcz, który miał na sobie, i przez szparę okienicy zajrzał do środka. Nie wiele mógł dojrzeć. Firanki od środka pokoju były zaciągnięte. Słyszał tylko szmer głosów, brzęk talerzy i szklanek. Chciał się już cofnąć, gdy ujrzał, że jedno z jednych bocznych okien było cokolwiek więcej odsłonięte. I nareszcie mógł dojrzeć wnętrze tego rodzinnego pokoju: panią Morel siedzącą na pierwszym miejscu przy stole z twarzą rozpromienioną i uśmiechniętą i malarza, mającego wygląd bardzo schorowany. Obok nich dwie grupy: Lusią i Stanisława, Fernandę i Piotra Moreau. Wszyscy słuchali z ciekawością opowiadania tego ostatniego. Jednakże Gewolski przypuszczał, że Moreau nie objawiał im całej prawdy, bo twarz Stanisława nie zdradzała żadnego innego uczucia prócz radości.

W chwili, gdy na stole pojawiły się likiery przyniesione przez Lusią, a mężczyźni zapalili fajki, Gewolski opuścił swoje stanowisko. Miał jeszcze dobrą godzinę czasu przed sobą.

Podszedł więc upewnić się, czy szofer z autemobilem oczekuje w wąskiej uliczce koło kościoła i powrócił pod dom od strony domu, ukrywając się w gąszczu.

W domu malarza bawiono się coraz lepiej; ktoś grał na fortepianie.

— To Stanisław! — Syknął z gniewem Gewolski. Poczekaj głupe! i na ciebie przyjdzie kolej rozprawienia się ze mną!

Minęła godzina; drzwi wychodzące na ganek skrzypnęły. Cała rodzina wyszła żegnać odjeżdżających. Fernanda pobiegła do furtki upewnić się, że niema nikogo, poczem Piotr Moreau wyszedł prowadząc pod ręką Stanisława. Gewolski ukrył się jeszcze głębiej. Dobiegła go rozmowa.

— Oh! mój przyjacielu — mówił Stanisław z szczerem wzruszeniem w głosie — jakże ci wdzięczny jestem za tą szlachetną przyjaźń, którą obdarzasz mojego ojca! Chciałbym bardzo, abyś się z nim jaknajprędzej zobaczył! Pojmuję, że musiałeś mieć przyczyny do działania na swoją rękę! Lecz jeśli tamci doktorzy nie wzbudzali w tobie zaufania, dlaczego nie zwróciłeś się dyskretnie do mojego ojca, który jest szlachetnością samą. On by cię był zrozumiał i współdziałał w wyratowaniu lorda Ca-



Ukryty w parku, na polu Marsowem, śledził niecierpliwie ten dom.

teley! A tak może czuć obecnie do pana trochę słusznego żalu! I byłbyś uniknął potrzeby zdemaskowania się, co wprowadziło cię teraz w strasznie niebezpieczną sytuację!

— Mój mały — odpowiedział spokojnie Piotr Moreau. — Mnie chodziło w danej chwili tylko o życie lorda Cateley! To był mój obowiązek lekarza! Wypełniłem go, nie dbając o rezultaty. Nie lękaj się o mnie! W razie potrzeby obroni mnie profesor Dubreuil i lord Cateley!

— I mój ojciec także, kochany przyjacielu. Wynagrodź mu teraz żal, jaki musiałeś w nim wywołać i zaraz jutro zwróć się do niego po radę i pomoc. Nie odmówi ci niczego, możesz pan być pewnym. A wiele dla ciebie uczynić może, bo posiada w Paryżu niezwykle wpływy i uznanie! Jeżeli pan chce, ja sam się udam do ojca i w pana imieniu mówić będę.

— Oh! co to, to nie, mój mały — zawołał Piotr Moreau — a jednak Gewolski zadrżał na te słowa!

— Proszę cię, Stanisławie — mówił dalej Moreau — nie czyni od siebie żadnego kroku. — Powróćmy teraz każdy do siebie. Muszę się zastanowić... obmyśleć, a przytem mam trochę zaległej

roboty. Gdy się z tem załatwię, sam pójde do twojego ojca. Od tego widzenia zależeć będzie twoje szczęście, twoje i Lusii. Jestem gotów do poświęcenia się... do opuszczenia Francji, jeżeli będzie potrzeba tak zrobić... Ale przedtem muszę mieć zezwolenie twojego ojca na twoje małżeństwo z Lusią. Bo widzisz, Lusia już nie jest dziś biedną panną bez posagu. Brat mój bardzo wiele zarabia, a i ja znalazłem niezłe źródło dochodu. To jest rzecz bardzo nieestetyczna handel tranem rybim, ale pozwala mi zarabiać wcale pokażne sumy! Jedyną więc przeszkodą w połączeniu się z Lusią, w oczach doktora Gewolskiego, może być moja osoba! A jeżeli zgodzę się oficjalnie zginać z powierzchni świata, rzecz cała załatwi się pomyślnie! A z tych wszystkich ostatnich przykrych zajęć, pozostanie tylko... niemiłe wspomnienie.

— Nie chcę twojego poświęcenia, mój przyjacielu. Nie chcę, abyś opuszczał Paryż, gdzie wśród nas wszystkich czujesz się szczęśliwym! Dlatego też, pomimo tych uwag, powiem jutro ojcu...

— Do dyabła! Stanisławie! Rozkazuję ci najsurowiej jako twój przyszły stryj, nie mieszaj się pomiędzy ojca a mnie! Ja sam tylko będę działał! Przeklęty chłopcze! Nie pora tu na podobne rozprawy! Spóźnimy się jeszcze na pociąg do Argenteuil!

Gdy Piotr Moreau i Stanisław rozłączyli się na dworcu św. Łazarza, Gewolski był oddalony od nich zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Czui już teraz, że dawny jego towarzysz nie może się mu wymknąć, i że nie cofnie się przed żadną ostatecznością, aby uczynić go nieszkodliwym!

Może go miał zadusić? Spojrzał na swoje rękawiczki: były zanadto nowe i nie nabrały dostatecznie formy ręki. Więc żadnych osobistych znaków nie znajdzie komisarz Bertillon na szyi zamordowanego! Ale gdzie miał to uczynić! Dokąd teraz Piotr Moreau podąży?

Przechodził obecnie ulicę św. Łazarza, bulwarem La Fayette.

Albo może uderzy go z tyłu głową? I wtedy łatwo będzie można sądzić, że upadł i sam śmierć spowodował!

Doszedłszy do ulicy św. Wincetego, Piotr Moreau zwrócił się na schody, wąskie i ciemne. Miejsce było bardzo sposobne! Gewolski przyspieszył kroku; Moreau szedł po prawej stronie schodów. Gewolski pobiegł szybko lewą stroną i znalazłszy się na górze oczekiwał. Słyszał już kroki Piotra Moreau i głos, bo nieprzyjaciel jego nucił coś po cichu, ale w pewnej chwili głos ten zaczął się oddalać i przycichł. Moreau wracał w stronę ulicy Belzune.

Gewolski, nie poruszając się, wyjrzał: Piotr Moreau był już na ulicy Rybnej. Pobiegł za nim, lecz musiał zwolnić kroku przez wzgląd na przechodniów.

— Ah! przekleństwo! — szepnął Gewolski nagle.

Piotr Moreau zatrzymał się przed kamienicą i zadzwonił. Otworzono mu natychmiast i zamknięto bramę. Nędznik zdołał umknąć pogoni!...

A może by pójść za nim?! Zemsta, którą pałał Gewolski, była dość silną, aby go natchnąć ostateczną odwagą!

Zadzwonił do bramy, dogonił Piotra Moreau na schodach i tam się z nim załatwił, poczem zbiedz! Dom cały zdawał się być uśpiony!... A wtedy, któż mu dowiedzieć zbrodni. Ale parę osób nadchodziło z górnej części ulicy; jedna z kobiet nawet zadrżała spotkawszy rozgorączkowany wzrok Gewolskiego! Odszedł więc kilka kroków i powrócił po chwili pod kamienicę, mając nadzieję, że nie wszystko jeszcze na dziś skończone. W każdym razie musi się dowiedzieć, czy Moreau mieszka od frontu, skoro dotąd wszystkie okna były jeszcze ciemne.

Nagle na drugim piętrze zajaśniało światło!... Okiennice nie były zasunięte; Gewolski więc mógł dojrzeć grubą sylwetkę Piotra Moreau, brodę jego i fajkę, z którą się nigdy nie rozstawał.

(Ciąg dalszy nastąpi).